

Wśród powodzi sypiącej się jak z rękawa literatury naukowej i popularnej z dziejów najnowszych Polski, otrzymaliśmy w ostatnich czasach jeszcze jedną pozycję w postaci książki o ks. Eugeniuszu Okoniu w opracowaniu Tadeusza Reka¹. Postać księdza Okonia zbyt dobrze znana jest starszemu żyjącemu jeszcze pokoleniu aby i książka o nim nie miała wzbudzić żywszego zainteresowania czytającej publiczności. Tym większego, że książka Reka ma bądź co bądź posmak *sui generis* sensacji, wywołanej wspomnieniami o burzliwej, na całą Polskę rozgłoszonej, karierze politycznej jej bohatera. A kariera to niecodzienna, tym ciekawsza, że była karierą typowego politycznego partyzanta, chodzącego własnymi od niczego i nikogo niezależnymi drogami. Ksiądz nie tyle z powołania ile z przypadku (a raczej z życiowej może konieczności), z wcześniej rozbudzoną ambicją i poczuciem własnej nieomyślności i doskonałości, był przez cały czynny okres swojego politykowania w stalej, wprost maniakckiej, walce dosłownie ze wszystkimi. Od skrajnej konserwatywnej prawicy po komunistyczną lewicę, wszędzie miał ksiądz Okoń tylko wrogów a nigdzie przyjaciół. Wśród nich miał oczywiście największych tam, gdzie mieszał szyki i stawał się groźnym chwilami konkurentem a więc wśród stronnictw ludowych, które bić będzie na głowę w doborze środków i metod walki politycznej o wpływy wśród ludu chłopskiego. Dodajmy, że środków i metod w zgoła niewybrednym gatunku które sprawiły, że na arenie politycznej pierwszego 10-lecia Polski niepodległej zabłysła w ks. Okoniu gwiazda demagogii, warcholstwa i politycznego awanturnictwa o niespotykanych dotąd wymiarach. A że jego księża sutanna była dla religijnych i wierzących chłopów niekwestionowanym autorytetem i że całej jego działalności politycznej towarzyszyło konsekwentne okrywanie się płaszczem katolickiej prawowierności, stąd już rozumiemy, że mógł przez długie lata utrzymać się na fali powodzenia i popularności wśród swoich wyznawców i że walka z nim nie była ani prostą ani łatwą. Ale ks. Okoń groźny był tylko w pierwszej

¹ Tadeusz Reka, *Ksiądz Eugeniusz Okoń 1881—1949*, Warszawa 1962 ss. 243.

fazie walki o wpływy i dusze wyznawców i zwolenników. Wszelka demagogia stosowana jako system i stanowiąca trwały i jedyny element politycznej działalności, jest działaniem na bardzo krótką metę i o tym ks. Okoń — mimo całej swojej niewątpliwej inteligencji i zdolności — pamiętać nie umiał i to go szybko gubiło. Poznawali się na nim nawet najbardziej otumanieni i dlatego kariera ks. Okonia to ustawiczne przeganianie go z jednego regionu w drugi. W latach 1911—1914 grasował w Kolbuszowszczyźnie, w r. 1919 musiał już szukać szczęścia w Tarnobrzeskim a w trzy lata potem i tam zbankrutował i za mandatem poselskim uganiać mu się przyszło już w Lubelszczyźnie. I tutaj także nie na długo, bo już w r. 1926 wyrzucono go z własnego przezeń zorganizowanego stronnictwa i ostatecznie przy walnej pomocy PSL Wyzwolenia zlikwidowano go z kretesem. W wyborach z r. 1928 jest już bez żadnych szans i gwiazda pomysłowości ks. Okonia, ta iście patologiczna narośl ówczesnego polskiego życia politycznego, gaśnie ostatecznie. Poza utratą popularności gubiła naszego bohatera jeszcze groźniejsza rzecz dla każdego działacza a mianowicie ośmieszenie, które przyniosły mu przede wszystkim jego wystąpienia w sejmie, niemal z reguły mające charakter wesółych interludów ku uciesze posłów i galerii.

Ale wszystko to nie wyczerpuje jeszcze charakterystyki ks. Okonia. W każdej działalności publicystycznej ważny jest również zespół cech osobistych działacza, a u księdza w szczególności. Nie idzie tu oczywiście o chodzącą doskonałość a u księdza wzór bogobojności, ale o to, aby życie osobiste takiego działacza i jego codzienne postępowanie było zgodne z najbardziej podstawowymi zasadami moralnymi, chyba także ważnymi w życiu zbiorowym każdego zdrowego organizmu społecznego. Ks. Okoniowi imponderabilia te niestety były obce i bliżej nad tym się nie rozwodząc trzeba stwierdzić, że publiczną tajemnicą owych czasów było brudne życie osobiste bohatera omawianej obecnie książki. Kto pragnie szczegółów, znajdzie ich niegorszy rejestr w książce Reka, który — przynajmniej lojalnie — mówi o tym dość dużo, chociaż z widocznym zażenowaniem i nieukrywaną zgolą tendencją do bagatelizowania i rozgrzeszania.

Takim to oto był ks. Okoń jako działacz i człowiek a w tej chwili przedmiot i bohater procesu rehabilitacyjnego jaki wytoczył autor w imię obiektywnej prawdy historycznej. Ocena dotychczasowa osoby ks. Okonia była — zdaniem autora — jednostronna, subiektywna, pełna uprzedzeń a zatem krzywdząca i dlatego autor po „przeprowadzeniu bardziej gruntownych badań i w oparciu o dostępne materiały źródłowe” dochodzi w rezultacie do przekonania, że w jego oświetleniu ocena osoby ks. Okonia „wypada pozytywniej”. Sformułowanie zatem dość ostrożne i pełne

zrozumialej rezerwy, tym słuszniejsze, że zadanie jakiego podjął się autor, to była naprawdę gra nie warta świeczki.

I dlatego to nie będziemy się dłużej zastanawiać nad nieudalym całkowicie zabiegiem rehabilitacyjnym podjętym przez autora. Dosłownie ani w jednym wypadku autor nie zdołał udowodnić, że zarzucany ks. Okoniowi z rzadką w Polsce jednomyślnością rejestr jego „błędów i wypaczeń” nie był prawdziwy. Zastosowana zaś przezeń metoda bagatelizowania, tuszowania a niekiedy nawet — z powołaniem się o dziwo na etykę świecką — rozgrzeszania jest może dobra w mowie obrończej przed sądem, ale jej walor naukowego, obiektywnego sądu (a o to przecież autorowi chodzi) jest żaden. A jeśli z kolei tak przez autora reklamowany radykalizm chłopski ks. Okonia ma go rozgrzeszać, to jest argumentacja równie osobliwa i niebezpieczna. Przyzwyczajenie w życiu osobistym obowiązuje każdego, na straży tego stoi etyka zarówno katolicka, jak i świecka, stoi także prawo. Obowiązuje zaś przede wszystkim tych, którzy wysuwają się na czoło i pragną społeczeństwu przewodzić. Społeczny zaś radykalizm ks. Okonia nie może go tym więcej usprawiedliwiać, że wogóle poglądy i postawa ideowa ks. Okonia — co zresztą przyznaje autor — stanowią rzadko na ogół spotykany splot monstrualnych wręcz sprzeczności za którymi kryły się pustka, cynizm i umysłowa anarchia.

Ale niezależnie od tego czy ten zabieg rehabilitacyjny udał się autorowi czy też nie, książka jego mogła mieć wartość czysto informacyjną, która nigdy nie jest do pogardzenia. Tym więcej, że autor w przedmowie mówi o „gruntownych badaniach”, „materiałach źródłowych” starając się w czytelniku wywołać wrażenie, że mamy tutaj do czynienia z przedsięwzięciem o charakterze zgola naukowym. Tymczasem z jej naukowością i z tymi gruntownymi badaniami jest całkiem niewesoło a czasami wręcz oplakanie.

Są w tej książce bowiem całe partie, gdzie źródła jego wiadomości pozostały tajemnicą autora; domyślić się tylko można czasem, że korzystał z jakichś bliżej nieokreślonych relacji osób, które miały w tej materii coś do powiedzenia no i rzeczywiście naopowiadały historyjki nie z tego świata. A że autor grzeszy przy tym podziw godną łatwowiernością i nie zadał sobie trudu aby prawdziwość tego co mu naopowiadano skontrolować, stąd znalazły się w książce całe partie o charakterze zgola mistyfikacyjnym. Dotyczy to w szczególności rozdziału „Młode lata ks. Okonia” (s. 33—52) omawiającego działalność polityczną ks. Okonia w szeregach Narodowej Demokracji. Jeśli rozdział ten pisał na podstawie relacji bliżej nieznanych informatorów, to stwierdzamy, że ci nadużyli dobrej wiary autora co go zresztą zupełnie nie usprawiedliwia. Mamy bowiem poza tym aż nadto dowodów, że autor po prostu nie orientuje się w sprawach o których pisze, nie szcędząc jednak czytelnikowi barwnych opowiadań o rzekomych

rozmowach Skarbka z Głabińskim i Grabskim, o konferencjach z ks. Okoniem i o zawartych umowach, jego agitacji wyborczej i wreszcie dlaczego nie został posłem i dlaczego rozstał się z Narodową Demokracją. Piszcie o tym wszystkim conajmniej jakby w charakterze naocznego świadka a czytelnik chyba tylko na słowo honoru ma to wszystko przyjąć do wiadomości. Czytelnik jednak bardziej w tej materii zorientowany włoży to wszystko między baśnie a na podstawie chociażby załączonych w „Dodatku” listów ks. Okonia przekona chyba autora jak dalece się pomylił i jak nie należy pisać historii. Z załączonych listów dowie się tedy autor jak dalece ks. Okoń był skrępowany zakazami biskupa w swojej agitacji wyborczej, jak mocno naciska o pomoc właśnie w osobie owego Karola Wierczaka który rzekomo miał go kontrolować, i jak dalece sięgala osobista znajomość ks. Okonia z ks. Stojałowskim skoro prosi usilnie prezesa Pawlikowskiego o interwencję. Dowie się dalej z listu nr 2, że sam ks. Okoń pisze o sobie jako tylko kandydacie na zastępcę posła i przekona się chyba co warte było jego własne opowiadanie na s. 42—44 o rzekomych umowach i rzekomej roli pierwszego kandydata na posła Lewickiego jako firmanta mającego się zrzec mandatu na rzecz ks. Okonia. I słuszne były obawy ks. Okonia wyrażone w tym liście, bo w r. 1912 komisja weryfikacyjna austriackiego parlamentu rzeczywiście nie uznała kandydatury ks. Okonia i mandat zastępcy posła przekazała trzeciemu z kolei kandydatowi figurującemu na liście. Dowie się wreszcie autor z listu nr 2 i 3, że ks. Okoń pod koniec wyborów został przeniesiony do Drohobycza (w ruskie strony) i że wreszcie okoliczności jego rozstania się z Narodową Demokracją były całkiem prozaicznej natury i zgola mało chwalebne dla niego. Z powierzonego bowiem mu funduszu wyborczego w kwocie 2.800 koron nie chciał się — mimo szeregu urgensów — wyliczyć i oczywiście, że w tych warunkach musiał się ze stronnictwem rozstać. Tak to w świetle dokumentów wygląda początek działalności politycznej ks. Okonia. Autor jednak wolał posłużyć się plotkami i mętными wspomnieniami jakichś bliżej nieznanym informatorów, którym fakty i daty z biegiem lat pomieszały się z kretesem.

Ta swoista metoda „gruntownych badań” zemściła się na autorze w sposób jeszcze bardziej kompromitujący w dalszej części tego ustępu, gdzie czytamy niemniej barwnie i niemniej lekko-myślnie opowiedzianą baśń o ks. Stojałowskim i jego „testamencie” na rzecz ks. Okonia. Cała ta historia miała mieć miejsce po wyborach w r. 1912 i w intencji autora miała być dla czytelników jeszcze jednym dowodem krzywdy jaka ks. Okonia spotkała u progu jego politycznej kariery. Ale autor niewątpliwie byłby nam oszczędził czytania tej wzruszającej i chwytającej za serce historii, gdyby spełnił był najbardziej prymitywny warunek przed

jej napisaniem a mianowicie: a) zapoznał się nieco z historią Stojałowczyków przynajmniej od r. 1908 i b) skontrolował datę śmierci ks. Stojałowskiego (23 X 1911). Ponieważ tego zaniedbał, więc w rezultacie książka jego zawiera w tym miejscu opis coś jakby spirytystycznego seansu, kiedy to, jak wiadomo, żywi ludzie rozmawiają z duchami. Dalsze komentarze do tej sprawy są chyba zbyteczne.

W tymże samym rozdziale są jeszcze dalsze przykłady „gruntownych badań” towarzyszące napisaniu tej książki. Nie jest zatem zgodnie z pełną prawdą, że ks. Okoń jako poseł do sejmu galicyjskiego „nie przejawiał żywszej działalności, nie zabiera głosu na posiedzeniach”. Już wtedy bowiem dał się ks. Okoń poznać jako specjalista w swoim rodzaju: od tzw. „zwischerufów” i od zwykłych awantur, których ofiarą padał głównie poseł Stapiński, zachodzące wówczas słońce na firmamencie galicyjskiej polityki. Wreszcie już całkiem źle informuje autor czytelników kiedy mówi o studiach uniwersyteckich ks. Okonia. Nie w czasie wojny ale w latach 1908—1912 był ks. Okoń zapisany na wydziale filozoficznym U. J. Piszemy wyraźnie „zapisany” ponieważ o studiach na serio trudno mówić skoro ks. Okoń nie mieszkał w Krakowie i całkowicie był zajęty pracą po parafiach wzgl. polityką. A tak przecież łatwo można to było sprawdzić w aktach archiwum U. J. Znowu te nieszczęsne informacje jako jeszcze jeden dowód „gruntownych badań”.

Tak to oto wygląda jeden ustęp książki o ks. Okoniu. Reszta na odmianę gęsto opatrzona przypisami i odnośnikami ze źródeł co w tym wypadku przemawia raczej na korzyść książki, jest jednak tylko kompilacją mechanicznie pozszywanych cytatów z pamiętników, przemówień i artykułów ks. Okonia opatrzonych w razie potrzeby odautorskim komentarzem. Dysponując już łatwo dostępnym materiałem źródłowym, nie każe nam autor wierzyć na słowo honoru w to co pisze. Zdziwiała jednak i tutaj duże zaufanie do sprawozdań prasowych (zwłaszcza „Chłopskiej Sprawy”) kolportujących nieraz notoryczne bzdury, niedbale i niedokładne cytowanie literatury, jaskrawe sprzeczności a niekiedy także i tendencyjna złośliwość np. w przekręcaniu nazwisk. Wszystko to aż nadto usprawiedliwia dużą nieufność do następnych także rozdziałów zawierających także mniej lub więcej drastyczne błędy czy omyłki. Spośród takich które od razu rzucają się w oczy, wymagają sprostowania bodaj takie informacje:

1) Wojejech Wiącek nigdy nie był administratorem dóbr Tarnowskich, (s. 55)

2) Za zamachem Piłsudskiego spośród ludowców opowiedziało się także PSL Wyzwolenie a nie tylko Stapiński (s. 46)

3) W r. 1919 nie było jeszcze w Krakowie arcybiskupstwa (s. 74)

4) Arcybiskup Teodorowicz nie występował na wiecach w szatach liturgicznych nie tylko dlatego, że na to nie pozwalają przepisy kościelne, ale także i dlatego, że na to nie pozwalałby mu prosty rozsądek, na którym temu najwybitniejszemu przedstawicielowi polskiego episkopatu na pewno nie zbywało, (s. 76)

5) Nie było żadnego paktu lanckorońskiego; pakt pomiędzy CHJN a Piastem został zawarty w Warszawie dnia 17 maja 1923 (s. 130)

6) Projekt zmiany konstytucji po zamachu majowym zgłosiła właśnie opozycja a nie piłsudczycy, którzy w tym czasie w sejmie jako grupa polityczna nie istnieli (choć jako wtyczki byli w różnych klubach od Piasta i Chadecji aż do PPS) (s. 132)

7) Do kategorii kiepskich i dość wulgarnych dowcipów należy przekręcenie nazwiska gen. Szamoty na Szmata (s. 82)

8) Nie missaria ale missalia (s. 181)

9) Czy ks. Okoń zrezygnował z kandydowania dlatego, że tak przyrzekł posłowi Putkowi (s. 140) czy też na skutek nacisku sanacji (s. 177)?

10) Czy ks. Okoń w grudniu 1927 siedział w więzieniu (s. 177) czy też przemawiał na zjeździe swojego „stronnictwa” (s. 168)?

11) Wielokrotnie wspomniana miejscowość Rudka to Rudki na zachód od Lwowa,

12) Ów „niejaki” Marczak (s. 68) to nauczyciel gimnazjalny w Tarnobrzegu, dyrektor biblioteki Tarnowskich w Dzikowie i zasłużony w tych stronach działacz na polu naukowym i kulturalnym.

13) Wreszcie nie jako sprostowanie ale jako uzupełnienie wiedzy o osobistych przymiotach ks. Okonia taka autentyczna scena z sejmu w czasie II kadencji 1922—1927: Do spacerujących w kularach dwóch posłów z prawicy podchodzi ks. Okoń i powiada: „No chyba dziś jesteście ze mnie zadowoleni (było to po jakimś gwałtownym wystąpieniu ks. Okonia przeciwko lewicy), dajcie 100 zł, bo nie mam centa przy duszy”. Żyjący uczestnik tej sceny już nie pamięta czy dał 100 zł, czy też może mniej.

Jeśli zatem także informacyjna strona książki w pewnych wypadkach zawodzi zupełnie a w innych budzi również poważne zastrzeżenia, to wydanie kilkunastoarkuszowej książki poświęconej tego rodzaju postaci jak ks. Okoń wydaje się luksusem mało usprawiedliwionym. Z punktu widzenia zaś potrzeb poznawczo-naukowych byłoby tu raczej miejsce na studium z pogranicza historii, socjologii i psychopatologii niektórych bardziej wstydliwych stron polskiego życia politycznego minionych czasów, w którym obok innych tego rodzaju zjawisk znaleźć by się mogło także miejsce i dla ks. Okonia i jego stronnictwa. Zwłaszcza historia polityczna Galicji dostarczyć może wiele wdzięcznego dla badacza materiału i w tej właśnie głównie myśli napisano niniejsze uwagi i opatrzone je no-

wą dodatkową dokumentacją źródłową, która przyszłemu badaczowi przydać się może bodaj dla ustalenia tzw. faktografii zagadnienia.

—o—

Załączone listy ks. Okonia pochodzą z archiwum domowego rodu Jana Gwalberta Pawlikowskiego, który poza swoją wielostronną działalnością na polu naukowym i kulturalnym, brał także czynny udział w życiu politycznym Galicji przed I wojną światową jako prezes stronnictwa Demokracji Narodowej oraz jako członek Komitetu Centralnego i Krajowego Ligi Narodowej. Z tego właśnie tytułu pozostawił po sobie J. Gw. Pawlikowski bardzo cenną korespondencję polityczno-organizacyjną w której znalazły się także listy ks. Okonia.

DODATEK

1) Do Jana Gwalberta Pawlikowskiego

Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie Dobrodzieju!

Wróciwszy do domu, pracuję całą siłą, chociaż skrycie i potajemnie. To mi utrudnia, że na wiece zakazane mam jeździć, ale i w takich okolicznościach ręką się nie opuszcza. Lecz trzeba by nam dwóch akademików do pomocy chłopotom a nadto proszę bardzo Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa, ażeby mógł koniecznie na tę niedzielę przyjechać do Cmolasa p. Wierczak Karol, gdyż rozbijający naszą jedność w powiecie organista Ciepiewski, podający się za „Stojalowszczyka” rozgłosił, że tę niedzielę celem poparcia jego kandydatury (która jest tylko operetkową) ma przyjechać ks. prałat Stojalowski do Cmolasu i tym się przechwala. Ja w to nie chcę wierzyć, by tak rozumny człowiek jak ks. Stojalowski mógł popierać taką kreaturę nędzną, ale w każdym razie dla okazania temu panu naszej siły i jedności pojedziemy tam mocą (?) na trzecią godzinę popołudniu a koniecznie potrzebny jest nam Wierczak. Bo ja przemawiać publicznie nie będę mógł. Upraszam także Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa Dobrodzieja, ażeby był łaskaw ks. Stojalowskiemu ustnie lub pisemnie przedłożyć sytuację i poprosić go, by temu Ciepiewskiemu zabronił intrygowania, by na jego ten wiec do Cmolasu absolutnie ks. Stojalowski nie jechał a w „Wieńcu i Pszczółce” by mnie z Lewickim umieścił a co do Ciepiewskiego zaraz sprostował. Bo to balamuci ludzi a Ciepiewski ks. Stojalowskim się zasłania. Upraszam więc na ks. prałata Stojalowskiego wpłynąć a na biskupa Pelczara może przez ks. Biskupa Bandurskiego.

Mam zaszczyt załączyć wyrazy najgłębszego szacunku
uniżony sługa

Ks. Eugeniusz Okoń

Majdan Kolbuszowski, 26 V 1911

2) Do Jana Gwalberta Pawlikowskiego

Majdan Kolbuszowski, 18 VI 1911

Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie Dobrodzieju!

Ponieważ jestem z posady w Majdanie przeniesiony i niezadługo muszę jechać a zaległości wyborcze pieniężne za druki i inne wydatki są niewyrównane, ja zaś tyle się już zadłużyłem przez te wybory, że więcej nie mogę wysłać się materialnie, tym bardziej, że za karę za wybory biskup mi daje kiepską

strasznie posadę w ruskich stronach, upraszać śmiem Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa Dobrodziecia o łaskawe spieszne przesłanie na zapłacenie tych zaległości wyborczych 500 złr, gdyż do tej kwoty dług wyborczy jeszcze dorasta. A drukarnia z Kolbuszowy o pretensje swoje 267 koron już mię zaskarżyła sądownie i chciałbym przed terminem wyrównać to.

Proszę również bardzo gorąco Jaśnie Wielmożnego Pana Prezesa o łaskawe popieranie mojej sprawy, by glosy dane na mnie jak na zastępcę Lewickiego uznano za ważne w komisji legitymacyjnej oraz w Trybunale Administracyjnym, by przecież tak mozolna praca moja nie była na darmo. Upraszam o to bardzo.

Łącząc najgłębsze ukłony Jaśnie Wielmożnemu Panu Prezesowi Dobrodziejowi pozostając wdzięcznym najniższym sługą

Ks. Eugeniusz Okoń

3) Do Prezydium Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego

Drohobycz, dnia 2 III 1912

Szanowne Prezydium Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego!

Niniejszym oświadczam, że występuję ze stronnictwa demokratyczno-narodowego. A czynię to z następujących powodów: Pierwsze nie zgadzam się w wielu zasadniczych kwestiach z programem stronnictwa, mając odmienne i odrębne zapatrywania polityczne. Powtóre skłoniło mię do tego postępowanie ze mną delegata stronnictwa po ukończeniu wyborów, które było nietylko nieszlachetne ale wprost nie ludzkie. Oto za moją pełną zapalną pracę i za moje trudy i za moje zniszczenie się materialne, gdyż wszystkie moje pieniądze i dochody i pokazną pożyczkę jaką zaciągnąłem na wybory włożyłem oprócz pieniędzy stronnictwa w ożywioną ogromną agitację trwającą kilka miesięcy (która i tak najmniej w całej Galicji kosztowała, tak tanią nigdzie w kraju nie była pewnie), oto za to wszystko, żem posła przysporzył stronnictwu bezinteresownie, pracując dla idei tylko, doczekałem się tej ze strony Szanownego Stronnictwa wdzięczności, że po cichu, dyplomatycznie rozpoczęto tajemną robotę przeciw mnie, chcąc mi odebrać wpływy w moim powiecie i uznany zostałem przez delegata stronnictwa za „nieuczciwego” i „złodzieja”, bo jak głosił delegat ludziom: „rachunek podany nie zgadza się z wydatkami” i „2.000 (dwa tysiące koron) gdzieś diabli wzięli”. Gryzły mię i bolały te zarzuty i oszczerstwa rzucane na mnie, bo Bóg mi świadkiem, że tylko nieca intryga i wyrafinowana złość ludzka i zemsta, mogły mnie niewinnego tak błotem bryzgać. I cierpiałem w mej duszy mówiąc sobie: niech cierpię chwilowo dla sprawy publicznej niewinnie, abym się nauczył jako to cierpieć musi w pracy publicznej narodowej najczęściej najniewinniej, ale kiedyś weźmie się później niewinność moja się okaże i sprawa moja słuszna zwycięży. Ale ponieważ dowiedziałem się, że Szanowne Stronnictwo pragnie mi walkę wytoczyć publiczną i ma nawet „publikować” jakąś broń przeciwko mnie — dla wyjaśnienia sprawy i dla ułatwienia walki owej czyli krucjaty przeciwko mnie jako komentarz do owej publikacji — to sobie pozwolę zauważyć (gdź Szanowne Stronnictwo tylko jednostronnie przez mego dawnego przyjaciela p. Wierczaka było poinformowane i zdanie tego pana co do mojej wartości było miarodajne), że przede wszystkim chcąc Szanowne Stronnictwo żądać odemnie składania rachunków, powinno było przy przesyłaniu pieniędzy na moje ręce wyjaśnić mi, że mam zdać dokładny rachunek z wydanych pieniędzy i zapisywać wszystko co wydaję, a wtenczas ja bym ustanowił sobie przybocznego sekretarza, który byliby zapisywał wszelkie wyborcze wydatki, albowiem ja sam agitując i kandydując bez urlopu wśród takich strasznych warunków trudnych, kiedy nocami musiałem urządzać wiece a w dzień pracować musiałem w kościele, w szkołach i obsługując chorych, nie byłam absolutnie w stanie prowadzić rachunków i dlatego nie zapisywałem nic com wydał, bom oprócz niemożliwości fizycznej notowania, uważał też, mając czyste sumienie, że i swoje własne pieniądze w to

wkładał i że mi na sumienie wierzą. Kiedy potem po wyborach żądano odemnie składania rachunków, zdziwiłem się bardzo, bo przecież tą samą usługującą się metodą powinienem był od Szanownego Stronnictwa żądać zwrocenia mi moich osobistych kosztów za pracę agitacyjną, a ja tego nie żądałem i nie chcę, bom nie dla pieniędzy pracowałem ale dla sprawy publicznej, chcąc zwyciężyć przemocą niesłychaną namiestnika Bobrzyńskiego. A kiedy dalej meżono mię dopominaniem się o konieciez wystawienie rachunków, chcąc się pozbyć tych „urgensów” kazalem bratu mojemu, akademikowi z akademii lasowej, wystawić *pro forma* jakiś bądź rachunek co on uczynił i posłał. Ale nie był to istotny rachunek kiedym nie notował wydatków, bom nie czułem się do tego obowiązany, lecz mniej więcej, o ile mógł sobie brat z kilku miesięcy przypomnieć, zestawil w przybliżeniu pozycje, które nie były ścisłym rachunkiem ani z których zarzutów mi czynić nie można i nie wolno według zasad sprawiedliwości i uczciwości. Wszystkie wydatki, o ile sobie dzisiaj przypomnieć mogę, były w przybliżeniu podane na pięć tysięcy koron, a w to wchodziło wszystko i co się wyplaciło i to co jeszcze wyplacić miało a stronnictwo na to dało tylko dwa tysiące osiemset koron, bo z trzech właściwie okragło koron mi przysłanych, dwieście koron dałem p. Wierczakowi. Niechże więc nawet przypuścimy w ostateczności, złośliwy i chcący się niesłusznie mścić na mnie człowiek, przepołowi nawet ze złośliwości ten rachunek, to i tak w tej przypuszczalnej tylko ewentalności, te dwa tysiące osiemset koron nawet wyrafinowana złośliwość i zemsta znajdzie przezemnie na cele agitacyjne wydanych i jest wprost absurdem i szaleństwem twierdzić, żem na cele osobiste czy mojej rodziny „skradł dwa tysiące koron” z czego by wynikało, że tylko osiemset koron kosztowała agitacja i wyszło na nią tylko tyle. Nigdy mię w życiu na pieniądze nie lakomil i krzywdy nigdy nikomu nie wyrządziłem, tylko mnie ludzie już nieraz skrzywdzili bardzo a teraz za mają pracę narodową, gdzie tylko był w miasteczkach i po wsiach, miłość Polski budząc wszędzie i świadomość narodową wśród szerokich mas chłopskich, taką okropną krzywdę wyrządza mi zohydzenie mię w opinii publicznej za to, że ośmielałem się mieć odmienne zapatrywania polityczne, to stronnictwo, które tak potępia politykę „brudnych dróg” w życiu politycznym i publicznym wogóle. Tak kopać człowieka, który bądź co bądź bezinteresownie i szczerze długi czas dla sprawy stronnictwa pracował, to przecież nie po ludzku; nie przykro by mi to było, gdyby to czynil Prusak albo Moskal, ale Polak narodowy demokrata! Przecież zaszczości pracy narodowej nikomu się nie powinno, ale owszem niech jak najwięcej, choćby z odmiennymi zapatrywaniami politycznymi (bo przekonania nikomu przemocą narzucić niepodobna, gdyż one się same w myślącej i samodzielnej głowie formują z postępowym kształceniem i doświadczeniem życiowym) — na niwie narodowej pracuje a przynależność partyjna to rzecz drugorzędna.

Myślę, że polska nasza ziemia ma tyle jeszcze zagonów odłogiem leżących i tyle trzeba głów i rąk do pracy, że jeden obok drugiego snadnie pomieścić się może i zdoła, byle tylko byli ludzie nie złośliwi, mściwi i ciasnych i ograniczonych głów i horyzontów, ale ludzie przede wszystkim dobrej woli i szerszych i głębszych poglądów, którzy nie żyją dniem dzisiejszym i spekulacją polityczną, ale patrzą w przyszłość. Walki więc ja żadnej nikomu z dobrych Polaków nie wydaję, lecz gdy zostanę zaczepionym, do ostatniego tchu mężnie i z całym zaparciem bronić się będę i rzuconą mi rękawicę podejmę z godnością. Walki się nie lękam, bo mam naturę do bojowania stworzoną i czuję w sobie dosyć siły, ażeby się zgnębić nie dać! „Biczów” też się nie boję, jaki tam jacyś panowie z osobistej animozji podobno na mnie ukreśli, bom ja dla miłości Polski i Jej przyszłości i potęgi Chłopa polskiego i „na bicze gotów jest”. A nadto czasem i to bardzo często bywa bicz i dwa końce miewa. Zresztą na bicze Dariuszów były miecze Milciadesów. Niechże ci, którzy umieli

na wzór moskiewski życie moje osobiste szpiegować i wywiadywać się i niby wady i plamy na nim znaleźli (co by im mogło przydać się przy beatyfikacji jako „adwokat diaboli”) wystawią swoje życie prywatne pod światło słoneczne a zobaczywszy okiem innych, że tam w nich świętość sama a plamy żadnej, niech się ośmielą dopiero wtedy być sędziami drugich i rzucać na nich kamień potępienia.

Ja mam sumienie czyste i choćby najnikczemniejszej złości i zemsty ludzkiej się nie boję a na szatańskiej intrydze, złości i zemście osobistych wrogów często zwykło się spełniać owo prastare zdanie: *Mentita est iniquitas sibi!* Do tych zaś którzy mi kruczają i publikacjami grożą, odzywam się: „Przyjacielu co masz czynić, czyń rychlej”. A jeszcze raz wobec Boga i ludzi pod sumieniem i słowem honoru oświadczam, że jednego centa z pieniędzy przysłanych przez Szanowne Stronnictwo na cele moje osobiste czy mojej rodziny nie wydałem ale wszystkie przysłane jako też wszystkie moje i pożyczone przezemnie pieniądze włożyłem w agitację wyborczą i chyba tyle mojej wszystkiej winy, żem nie notował wydatków, co zresztą było fizyczną niemożliwością i do czego nie miałem polecenia z góry.

Jakkolwiek żegnam się z Panami, nienawiści nie będę miał do stronnictwa, tylko żał i boleść, żem za pracę moją szczerą i ofiarną, w nagrodę niewinnie cierpiał².

Z głębokim poważaniem

Ks. Eugeniusz Okoń

Józef Zieliński

ISAKOWICZ IZAK MIKOŁAJ (1824—1901) arcybiskup-metropolita lwowski ob. orm. Ur. 6 VI w Łyścu, pow. bohorodczański, syn Samuela i Rypsymy ze Słowackich. Pierwotne nazwisko tej drobnomieszczańskiej rodziny Huybab, zostało dopiero w drugiej połowie XVIII w. zmienione, uważała się ona za pochodzenia szlacheckiego. Do gimnazjum chodził I. w Stanisławowie, studia teologiczne odbył we Lwowie, gdzie 6 VIII 1848 wyświęcony przez arcybpa Stefanowicza na kapłana. Pierwszy wikariat otrzymał w Tysmienicy, skąd po roku przydzielono go na kooperatora do Stanisławowa. Tu w l. 1849—63 stał się faktycznym kierownikiem parafii przy starym i zniedołężniałym proboszczu. Z zebranych osobistą kwestą 10 tys. reńskich odrestaurował kościół miejscowy. W l. 1863—5 kapelan w Suczawie na Bukowinie, zwrócił na siebie uwagę listem otwartym w jęz. ormiańskim do tamtejszych gregorian, wzywającym do unii (1862). Już poprzednio dał *Odprawę autorowi broszury „Głos do ziomeków ob. orm.-kat”*, w polemice o zniesienie obrządku orm. w Galicji, jako żarliwy tegoż obrońca (1861). W Stanisławowie wybił się talentem kaznodziej-skim i zaczął drukować zrazu bezimienne *Kazania i nauki na wszystkie uroczystości w przeciągu całego roku* (Lwów 1856; t. II jako *Kazania o Męce Pańskiej i nauki przygodne*, 1857). Mianowany proboszczem w Stanisławowie 1865 r. rozwinął intensywną działalność nie tylko kościelną, ale i obywatelską. Po pożarze miasta (1868) otwarło się do niej nadzwyczajne pole. Z uzbieranych znów kwestą 18 tys. reńskich odbudował spalony kościół i plebanię. Wszedł 1867 r. do rady miejskiej, został prezesem miejscowej kasy oszczędności, zorganizował opiekę nad biedną młodzieżą szkolną, bursę dla niej i ochronkę dla dziewcząt. Kanonik honorowy od 1871, drugi kandydat przy wyborze arcybiskupa 1875, dziekan stanisławowski 1877, okazał się płodnym pisarzem homiletycznym, drukując kilka dalszych tomów oryginalnych kazań i układając wspólnie z ks. Tomaszem Dąbrowskim antologię *Biblioteka kaznodziejsko-polska* (Lw. 1877—8), 33 autorów z l. 1760—1830, kazań 146 w 4 t. Zdobył mir w Cerkwi grecko-unickiej, służąc jako chętny łącznik między nią a obrządkiem łacińskim, trafiając do wiernych obu tych obrządków. Nie zdziwił też nikogo, owszem spotkał się z powszechnym zadowoleniem i zaufaniem jednomyślny wybór I-cza 12 I 1882 pierwszym

² Podkreślenia w tekście pochodzą od autora listów. Listy przedrukowano bez jakichkolwiek zmian gramatyczno-stylistycznych z wyjątkiem wprowadzenia nowej pisowni.